Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 11 Czérwca N^ER^ 8. 1838 Roku.

ART PIĄTY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

PRZEZ J. K.

(DALSZY CIĄG.)

SCENA II.

(*Miészkanie doktora.*)

(Walenty *siedzi w krześle i drzémie*).

(Wacław *wchodzi szybko i uderza go po ramieniu*). Walenty!

Walenty.

Zaraz Panie; będziesz się Pan rozbiérał?

Wacław.

Przetrzyj oczy: — czy jest twój Pan?

Walenty.

Czyto Pan? — Panie Wacławie, nie widział tam Pan gdzie mego starego? — kto chce nié miéć dnia, ani nocy, niech służy u doktora.

Wacław.

Gdzie klucze od téj szafki?

Walenty.

Od téj szafki? a Panu na co? — tam są niewiedziéć jakie przyprawy, a Pan się na tém nieznasz.

Wacław.

Czyś ty czuł kiedy ból tu? taki ból, co rozrywa piersi, co wszystkiémi ostrzami, jakiémi ciérpienie może dojmować ciału, kole i kaléczy. Na ten ból jest tutaj lékarstwo, i ja wiém gdzie leży: — otwórz!

Walenty.

Dalibóg że, nié mam klucza: — a choćbym i miał, to nie dam; — od dwudziestu lat Pana znam: — a to takim jeszcze byłeś dzieciuchem, gdym cię odprowadzał do Pijarów, a nigdym jeszcze nie widział cię z podobném wejrzeniem. Wyglądasz mi tak, jak gdybyś się tu na wschodach ze śmiercią spotkał.

Wacław.

Otwórz stary; bo mię boli!

Walenty.

Ej porzuć Waćpan tę chorobę, a idź spać! (*Wacław odrywa szafę*).

WALENTY.

Co robisz Panie Wacławie? — a dalibóg oderwał zamek!

WACŁAW (*dobywa flaszę*).

Jest, i żadna moc wydrzéć mi jéj nie zdoła. O! teraz jestem bezpieczny, silny, potężny! (*wychodzi*).

WALENTY.

W imie Ojca, i Syna! — czy to mi się śniło! czy on doprawdy stąd wyszedł, odbił szafę i niewiedziéć co gadał, ale szafa otwarta i ja nie śpię: — cóś tu się niedobrego święci. — Żeby prędzéj mój Pan przyszedł, we dwóch człowiekowi raźniéj. Dla bespieczeństwa jednak nie zawadzi drzwi zamknąć. Ten przyszedł z suchotami w sercu i odbił szafę z lékarstwami; drugi przyjdzie z suchotami w kieszeni i odbije szkatułę. — Licho mi nadało takich pacyentów. (*stukanie*) Kto tam?

DOKTOR.

Otwórz!

WALENTY.

Aha! to mój stary; (*Doktor wchodzi*) dobrze żeś Pan przyszedł.

DOKTOR.

Już pora, spodziéwam się.

WALENTY.

Wychodzić z domu, a nie wracać: — dnieje.

DOKTOR.

Lékarz, mój kochany, nie rządzi swym czasem.

WALENTY.

A sługa lékarza powinien zerwać wszystkie związki z poduszką.

DOKTOR.

A toż znowu co? — któż to otworzył tę szafę?

WALENTY.

Pacyent, który sam sobie zapisał lékarstwo, szafę oderwał i flaszkę wyjął.

DOKTOR.

Któż?

WALENTY.

A któżby to śmiał zrobić? — Pan Wacław!

DOKTOR (*śpiesznie przeziéra flaszki.*)

Niéma: znalazł; — przewidywałem, — stary, powiédz, nie zażył; nie?

WALENTY.

Nie, nie; mówił tylko, że go tu, boli. — Przyciskał do piersi flaszkę jak plaster, jakby przez szkło mogło cóś pomódz; gadał niewiedziéć co, i wybiégł jak waryat.

DOKTOR.

Kapelusz i laska!

WALENTY.

W imie Ojca i Syna! czas spać!

DOKTOR.

Nieszczęście nie śpi. (*wychodzi*).

WALENTY.

Wybaczaj stary, teraz niezostanę i ciebie samego niepuszczę. (*wychodzi*).

* * *

SCENA III.

(*Pokój Hrabiego.*)

HRABIA (*wchodząc chowa list*).

Nieoceniona Elizo! chcesz mi dadź przykład męztwa, chcesz mi dodadź odwagi, abym się ciebie wyrzekł; — o nie! nie dokażesz tego całą wielkością twéj cnoty. — Każesz mi szanować twój pokój. — Niebój się, niéma siły, któraby mnie do podłości skłoniła; — ale któż mi wzbroni użyć środków, które sumnienia mego żadnym nieobciążą wyrzutem; (*przechadza się*). Jednakże, gdy się zbliża chwila stanowcza, jakiś niepojęty ciężar wali się na moje piersi: — co mi się zdawało rzeczą tak prostą, tak naturalną, potworną przybiéra postać i całą budowę moich nadziei, jedném dotknięciem wywraca. I w rzeczy saméj, mężowi, który swą żonę kocha, który wszystkiémi siłami duszy ją ogarnia, i radby przy sobie ją zatrzymać, powiedziéć: — oddaj mi ją, a w zamian masz piéniądze. — O! nie jestże to myśl występna? — Jaż więc przyszedłem do téj konieczności? — Jaż więc nieczuję w sobie tyle mocy, abym się wyrzékł szczęścia, którego nié mogę nabyć bez zbrodni. Niepowinienżebym wydrzéć się z tego miejsca zaczarowanego jéj wźrokiem; sto mil rzucić między nią a siebie, rozciągać przestrzenią bez granic tę nić, co nas wiąże, póty, póki się nie zerwie, — nie pęknie. Lecz z drugiéj strony, jakież będzie ich życie? — czy ta ofiara wróci im pokój? — czy odda jéj spójrzeniu dawny powab, jéj pieszczotom dawną pewność. Jéj dusza pobiegnie za mną, a w ręku jego zostanie glina bez czucia, bez myśli, i tego przekonania nikt mu odjąć nie zdoła. Złe więc już się stało, już się nie powiększy. — Tak, to prawda, ale sprawcą tego złego jestem ja; rozumowanie moje prawdziwe, ale na dnie téj mądrości jestem znowu ja, i to jest właśnie trucizna, co mi piersi rozrywa. (*siada*). A przecież rzeczy tak zostać nié mogą, im bardziéj nad tém myślę, widzę, że innego środka niéma. — Chy-

ba wyzwać i zabić! Ja! jego? — nigdy! bo i cóżbym zyskał? — Położysz ona swą rękę na mojéj, gdzie będą ślady krwi męża, nigdy!... Co tam?

LOKAJ.

Pan Wacław.

HRABIA.

(*Idzie do drzwi i wprowadza Wacława.*)

Chodź, chodź mój przyjacielu!

WACŁAW (*zatrzymuje się.*)

Za pozwoleniem. — Nasza przyjaźń, płód niedonoszony, konała długo i umarła wczoraj. — Dajmy jéj pokój. — Czego chciałeś? — jestem.

HRABIA.

Usiądź Wacławie! mówisz do mnie z goryczą, nie przeczę, zasłużyłem na wyrzuty. — Czuję się winnym. — Ale gdybyś wiedział ile mię kosztuję to, co ci mam powiedzieć, pomyślałbyś, jeszcze w sercu jego jest cokolwiek szlachetności, jest równie jak ja nieszczęśliwym.

WACŁAW.

Nie, nierównie.

HRABIA.

Proszę cię nadewszystko uzbrój się w zimną krew i słuchaj mię cierpliwie.

WACŁAW.

Byłem cierpliwym do podłości; i za to teraz słuszną karę odnoszę.

HRABIA.

Wacławie! twoja żona niewinna. — Gdybym był chciał ją uwieść, potrafiłbym może i ciebie omamić, i ją odurzyć, a zaspokoiwszy chwilową gorączkę, odrzuciłbym naczynie, które pragnienie moje zaspokoiło. — Ale ja żonę twoję kocham, jak ty pojmujesz, że ją kochać można.

WACŁAW.

Więc zabij mię i weź ją; — albo na BOGA, ja ci głowę roztrzaskam.

HRABIA (*niezmiészany*).

A twoje dzieci, Wacławie! Ty mię ukarzesz, prawo ciebie; ona nas obu nie przeżyje.

WACŁAW (*stłumionym głosem*).

Mów więc, czego odemnie chciałeś? — Mów, mogę cię teraz słuchać cierpliwie, jak cierpliwie dozwoliłem złemu wcisnąć się do mego domu, zatruć źródło mego życia, zagasić to ognisko, co oświécało ciche me ściany. (*rzuca się na krzesło*).

HRABIA.

Kiedym ją raz piérwszy obaczył, uderzyła mię jéj piękność, pomyślałem: co za powab w jéj

licu! jaki wyraz w tém spójrzeniu! muszę ją poznać.—Zbliżyłem się, poznałem, postrzegłem waszę mierność, starałem się byt wasz polepszyć, życie uprzyjemnić.— Użyłem całéj zręczności, całéj sztuki, abyście przyjmowali wszystko, co pochodziło z mojéj ręki. —A gdym postrzegł, że co miało bydź rozrywką, staje się występkiem, już było zapoźno; —ani widok waszego szczęścia nié mógł mię powstrzymać, ani walki uporczywe, którem z sobą staczał, uleczyć. Niepojęta siła ciągnęła oczy, skłaniała myśli, porywała duszę. — O! jakżem ci nie raz zazdrościł! kiedy w tych rozrywkach, którem wam nastręczał, trzymała się twojego boku, zwiészała się na twojém ramieniu, wejrzeniem i uśmiéchem wynagradzała ci przelotną jaką przychylności ku mnie oznaką; czułem wszystkie żądła zazdrości, a nié mógłem cię nienawidzieć. Przyszedł nareszcie stanowczy moment:— poznałem, że jéj pokój, jéj szczęście zgubione. Przyszedł moment:— Wacławie, bądź mężnym!— w którym przekonałem się; że ona mię kocha.

Wacław (*zrywa się*).

Dowód! — jaki masz dowód?

Hrabia

Czytaj.

Wacław (*waha się, nareszcie oddaje list nazad*).

To nąd moje siły.

Hrabia.

Czytaj śmiało, gdyby ten list nie był cnoty jéj dowodem, nie pokazałbym ci go.

Wacław.

«Szanuj mój pokój i honor, «unikaj mię, zaklinam cię na «wszystko co ci jest świętém.— «Henryku! kochałam cię, a nie «obaczysz mię więcéj: tyś męż-«czyzna, miałbyś mniéj mocy «nademnie?» — (*po chwili*). O! to prawda, onaby nas obu nie przeżyła!

Hrabia.

Jakiż na to środek?

Wacław.

Umrzéć!

Hrabia.

Jest trudniéjszy, ale szlachetniéjszy; bydź wielkim, bydź naszym przyjacielem, dobroczyńcą, twórcą naszego szczęścia. Wacławie!— oto masz zapisy dla twoich dzieci, pół miliona dla trojga; — A tu, tu piéniądze na rozwód. —Nie odpowiadasz?

Wacław.

Czy ci się zdarzyło kiedy słyszéć słowo stanowcze, przenikliwe, które tak brzmi w duszy, jakby brzmiał dzwon w uszach umarłego, gdyby go mógł słyszéć; słowo, którego echo przeciąga się póty, póki się ciągnie życie; wiąże się z każdém pulsu uderzeniem, z każdą myślą splata! Takich słów jest niewiele, a przecież ty jedno z nich znalazłeś!

HRABIA.

Gdybym ja tylko kochał, gdybym ja tylko miał bydź szczęśliwym, piérwéjbym umarł, niżbym od ciebie podobnéj żądał ofiary.

WACŁAW.

Więc do jéj szczęścia potrzeba, aby nie była moją? — Prawda, rozwód konieczny, (*długo patrzy w ziemię*) — tak, i rozwód bydź musi. — Przyjmuję układ; gdzie są papiéry, dawaj; — czyście się już z sobą ułożyli?

HRABIA.

Wybaczam ci to pytanie, jesteś nieszczęśliwym.

WACŁAW.

O bardzo nieszczęśliwym!

HRABIA.

Ten list cię przekonywa, że o niczém nie wié!

WACŁAW.

Ten list mię przekonywa że ona cię kocha: — rozwód — tak, inszego niéma środka. — Czekam cię. — Przychodź, — przychodź prędzéj, bo ja sam nie wymogę na niéj zezwolenia. — Nie będę miał serca, nie będę miał odwagi powiedziéć jéj: przedałem cię za pół miliona. — Twoje spójrzenie, twój głos, twoja wymowa, prędzéj ją skłoni, aby stargała węzły co nas łączyły; aby, podawszy ci rękę, wyszła z domu i zostawiła za sobą męża bez szczęścia, dzieci bez matki. — (*wychodzi.*)

HRABIA.

W głosie jego dziwne jakieś brzmienie, sądziłem, że nie tak łatwo przystanie. — O Elizo moja! — nie; — ja cię nie opuszczę! — (*wychodzi.*)

(*Scena IVta i dokończenie, w następnym numerze.*)

OBRZĄDKI RELIGIJNE I ZWYCZAJE CZÉRKASÓW.

Religijne obrządki tych gorali są tylko im właściwe i dla tego na szczególniéjszą zasługują uwagę. — Czérkasy oddają cześć

najwyższemu jestestwu, Bogarodzicy i niektórym niebieskim potęgom, które apostołami mianują; wierzą w nieśmiertelność duszy i przejście jéj do przybytku radości lub udręczenia. Las, jest dla nich świątynią, krzyż o drzewo oparty, ołtarzem. Owinięty grubym płaszczem z odkrytą głową stoi kapłan przed krzyżem i rozpoczyna nabożeństwo ofiarą pojednania. Zwykle zabijają owcę lub kozła, a z nadzwyczajnych powodów także wołu. Kapłan bierze do ręki jarzącą świécę i nadpaliwszy nią włosy źwiérzęcia w miejscu, gdzie ma być ugodzone, zléwa je kroplami *buzy*, czyli jagłami rozpuszczonémi wodą. Po skończonéj krótkiéj modlitwie zabija potém ofiarę. Głowa jéj należy bóstwu a skóra kapłanowi. Reszta części używa się do sporządzenia uczty podczas odprawiającego się nabożeństwa. Kilku młodych ludzi, którzy zwykle są jego niewolnicy, stoją za kapłanem i pomagają mu w wykonaniu tego obrzędu. Trzymają oni krumki chleba i kielichy napełnione *buzą*, czyli napojem z jagieł. Po zabiciu ofiary bierze kapłan do ręki chléb i kielich, podnosi je ku niebu, wzywa Przedwiecznego i pobłogosławiwszy, podaje najstarszemu z ludu. To samo powtarza kilkakrotnie wzywając przytém Matki Boskiéj i apostołów. Na końcu obrzędu wyznacza według upodobania dzień, w którym następna odbyć się ma ofiara; wszelako ofiara ta nié może się odbywać, jak tylko raz na tydzień, a mianowicie w jednym z piérwszych dni cztérech. Poczém ogłasza zgubione przedmioty i wzywa znalazcę do ich oddania, ale zwykle nikt się znalazcą nie mianuje, nareszcie rozpoczyna się uczta. — Prócz tych ofiar obchodzą jeszcze inne uroczystości mianowicie: święto patronki pszczół, Mercenii, którą niewiadomo z jakiego powodu Bogarodzicą mianują. Gdy pewnego razu piorun wszystkie zniszczył pszczoły, miała ona według ich podania ukryć jednę w rękawie swéj koszuli.— Czczą także święto patrona Czérkasów, Sozerise, którego sobie przedstawiają jako sławnego żeglarza, jako władzcę wiatrów i wełn morskich i święto piorunu, dla którego mają największe uszanowanie; kogo piorun zabije,

ten podług nich ma wielką łaskę u nieba. — Nareszcie święto nowego roku, które prawie w ten sam czas co i u nas obchodzą, i obżynki. Lecz największą uroczystością są u nich święta wielkanocne. Już z początkiem piérwszego marca nie jedzą jaj zupełnie, przez cały ten czas nie przyjmą nikogo, nic nie pożyczą i nie najmą żadnéj rzeczy, co większa, nawet ognia nie udzielą. W piérwszym dniu świąt wielkanocnych zostają w domu, dnia drugiego obchodzą rozmaite festyny, na których zabijają różne źwiérzęta i jedzą wszystkie jaja oszczędzone w miesiącu marcu. — Godłem patrona Sozerise jest gruszka i dla tego każda rodzina chowa w swoim domu zasuszone to drzewo. W dzióń uroczystości rzucają to drzewo w wodę, potém znowu je na brzég wyjąwszy, zawiészają na jego szczycie sér, a na gałązkach małe świéczki, i tak wnoszą je do domu, gdzie mu każdy życzy szczęśliwego przybycia. Czérkasy jadają mięso tylko w dni wielkanocne, albo gdy ich cudzoziemiec odwiédzi. Jedzenie zastawiają podług tureckiego zwyczaju na małych, okrągłych stołach. Cudzoziemiec w takim przypadku jé sam jeden, za nim stoi rodzina domu. On wypełnia powinność gościnności podając swemu gospodarzowi potrawy. Kobiéty jedzą osobno. Używają drewnianych łyżek, a palce służą im za widelce. Przed i po jedzeniu myją sobie troskliwie ręce.

—ooooooo—

MOJA PIOSENKA.

Zégar życia bije,
Lata jak woda, spływają ścicha;
Świat wesoło żyje,
Tylko mnie pierś wzdycha;
I kiedy wszystko, wszystkim się uśmiécha
Mnie żałoba wszystkie kryje.

Innych przyjaźń pieści,
Śmieją się, innym, usta kochanek,
Tylko mnie w boleści
Schodzi życia ranek;
Na mojéj skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświéca dzióń złotém czołem;
Smutne grobu szaty
Żywy naciągnąłem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Moim światem lepsze światy.

W Krakowie, Czionkami Józefa Czecha.